



## Rozdział VI

### Polowanie na hipopotamy w Mozambiku

Mozambik to mała wyspa, której obwód mierzy jedną milę włoską. Obfituje w piasek i słoną wodę morską. Rosną tu palmy rodzące kokosy, nazywane inaczej orzechami indyjskimi. Sam kokos jest wielkości mojej głowy i nie ma wewnątrz jądra, jak nasze orzechy, lecz kiedy owoc jest jeszcze niedojrzały, ma w sobie wodę słodko–kwaskowatą, tyle co w zwykłym kielichu. Na upały pod wieczór to wyjątkowo orzeźwiający napój... – pisał Michał w liście do swego współbrata Grzegorza Cieślaka. Był początek stycznia 1644 roku, dzień chylił się ku wieczorowi, ale upał nie zależał ani trochę.

– Uff, przydałoby się nieco napoju z kokosa... – westchnął jezuita, ocierając zroszone potem czoło i odkładając pióro. – Czas na odpoczynek.

Mimo niezmiennie wysokiej temperatury pobyt w Mozambiku przyniósł mu ukojenie po trudach podróży morskiej. Świeża woda i jedzenie (ach, jakże pyszne było portugalskie bacalhau!), a nade wszystko możliwość kąpieli zrekompensowały mu niedostatki ostatnich miesięcy. I jak miło było poczuć pod stopami stały ląd! Choć, mówiąc szczerze, jeszcze przez kilka dni po zejściu z pokładu Michał miał wrażenie, że ziemia kołysze mu się pod nogami w miarowym rytmie morskich fal.

Teraz, obmywszy twarz wodą, Michał postanowił wyjść na wieczorną przechadzkę. Jak co dzień chciał rozejrzeć się



nieco po wyspie, licząc, że znajdzie możliwość, by popłynąć na afrykańskie wybrzeże, do krainy Kafrów, którą dotąd znał tylko z opowieści mieszkających tu Portugalczyków. Wcisnął na głowę kapelusz – mizerną ochronę przed palącym nadal słońcem – i wyszedł z budynku jezuickiego kolegium w parny świat. Niemal natychmiast poczuł, że cały lepi się od potu, ale nic na to nie mógł poradzić – sutanna musi być zapięta pod samą szyję. Z odrobiną zazdrości spojrzął na dwóch czarnoskórych mężczyzn, których niemal nagie ciała, przewiązane tylko od pasa do kolan krzykliwie kolorowymi materiałami, nie dusiły się pod osłoną ubrań, za to lśniły pięknie nasmarowane tłuszczem. Minęli go, rozmawiając w swoim niezwykłym języku, co chwila powtarzając głośno: „Uuu...”, co – jak już wiedział – było oznaką wielkiego zainteresowania. Gdy odprowadzał ich wzrokiem, drogę zastąpił mu ubrany z europejska mężczyzna.

– Witaj, padre Michael! – portugalski szlachcic pozdrowił jezuitę, zdejmując z głowy kapelusz z ozdobnym piórem.

– Witaj, senhor – Michał odwzajemnił powitanie, rozpoznając w swym rozmówcy Don Manuela, jednego z miejscowych szlachciców, poznanego w czasie obchodów Bożego Narodzenia.

– Przyglądasz się dzikusom, ojczy? – zagadnął mężczyzna. – Czy to nie wstyd i obraza dla Boga, że tak chodzą po świecie półnago?

– Nie nazywaj Kafrów dzikusami, senhor. To ludzie tacy jak my, stworzeni na Boży obraz i podobieństwo, a że cieplej tu niż na naszej północnej półkuli, więc i stroje są lżejsze. I czyż to nie dowód najwyższej mądrości Bożej, że Kafrom dzięki czarnej skórze i gęstym włosom słońce nie szkodzi, a my musimy się

przed nim chronić? Szczerze mówiąc, chętnie bym poszedł w ich ślady, ale osoba duchowna nie może zdjąć sukni... – odparł życzliwie zakonnik.

– Jak tam ojciec uważa – mruknął szlachcic, przyglądając się jezuitcie spod oka. – Ale skoroś, ojcze, taki Kafrom przychylny i ciekawy ich życia, to zapraszam jutro na łowy na grubego zwierza. Widział kiedy ojciec konia morskiego?

– Żywego jeszcze nigdy. Ovidor, sędzia miejski, przysłał mi do kolegium odciętą głowę tego stworzenia. Mierząc ją od pyska w kierunku łopatek, ustaliłem, że miała trzy łokcie długości. Z dolnej szczęki wystawały dwa wielkie, zakrzywione zęby, i tyle samo z górnej – choć nieco mniejsze. A w dolnej szczęce były jeszcze dwa proste zęby, sterczące do przodu. No i ten szeroki jęzor... – opisywał z zapałem Michał.

– Widzę, że z ojca prawdziwy naukowiec. To jutrzejsza wyprawa na pewno się ojcu spodoba. Proszę przyjść o świcie do portu. Popłyniemy na wybrzeże Afryki, a tam zapolujemy na konie morskie. Zobaczy ojciec, co potrafią zdziałać Kafrowie i ich dzidy. I niech ojciec lepiej nie chodzi o zmierzchu w pobliżu cmentarza. Ponoć wieczorną porą, gdy dzwony biją Ave Maria, tygrysy wychodzą z lasu, przybywają na cmentarz, wygrzebują pogrzebane tam trupy i pożerają je nocą.

– Tygrysy? – zapytał Michał, rozglądając się trwożnie dookoła.

– Ano, tygrysy – odpowiedział z uśmiechem don Manuel, zadowolony że wystraszył nieco zakonnika. – Zatem do zobaczenia jutro w porcie. *Boa noite*, padre! Dobrej nocy, ojcze!

– *Boa noite!* – odparł Michał i śpiesznym krokiem udał

się do kolegium. Wolał uniknąć spotkania z tygrysem, nawet jeśli – z tego co słyszał – tygrysy w Afryce nie występowały.

\*\*\*

Całą noc śniły mu się konie morskie. Wiedział, że z grecka przezwano je hipopotamami – „rzecznymi końmi”, bo niczym konie parskały i rżały w rzekach. W jego śnie jednak przede wszystkim szczyrzyły do niego zęby i to z bardzo bliska, co wcale nie wyglądało przyjaźnie. I miały zdecydowanie nieświeży oddech. Toteż Michał poczuł dużą ulgę, gdy przebudził się ze snu, choć do świtu zostało jeszcze sporo czasu.

W porcie bez trudu odnalazł znajomego szlachcica i jego łódź. A kiedy obaj usadowili się wygodnie na ławie, dwudziestu roślących czarnoskórych niewolników chwyciło za wiosła i łódź skierowała się ku majaczącemu w oddali wybrzeżu Afryki. Gdy dopływali już do płyčizny, ich oczom ukazała się wielka szara głowa z maleńkimi uszkami, spoglądająca na nich z odległości nie większej niż rzut kamieniem.

– Hipopotam, hipopotam! – rozległ się szmer wśród wiosłarzy, którzy wcześniej od Europejczyków zauważyli obserwujące ich zwierzę i teraz pokazywali je sobie palcami. Po chwili Michał Boym również dostrzegł paszczę hipopotama, tym razem rozdziawioną na oścież, zupełnie jak w jego śnie. Z paszczy tej dobył się głos – ni to ryk, ni to rzenie, na który natychmiast odpowiedziały inne, podobne głosy. Michał przyjrzał się uważniej falom i dostrzegł, że nieopodal łodzi pływa całe stado hipopotamów, baraszkujące rozkosznie w coraz płytszej wodzie.



– Dziesięć, jedenaście, dwadzieścia dwa, trzydzieści pięć, czterdzieści siedem, bez mała pięćdziesiąt! – wykrzykiwał jezuita, oglądając się na wszystkie strony i próbując policzyć, ile zwierząt ich otacza. Nie było to łatwe, ponieważ co chwila kolejne łby, grzbiety i zady wynurzały się i zanurzały ponownie, co sprawiało uciechę patrzącym, ale nie ułatwiało rachunków.

– Usiądź, padre, bo biegając od burty do burty wywrócisz łódź i wszyscy skończymy w paszczach morskich koni – uspokajał go don Manuel. – Lepiej spójrz, jak Kafrowie polują na te bestie.

Przytrzymany za skraj sutanny Michał usiadł na ławce, a wówczas wskazany przez Portugalczyka niewolnik podniósł z dna łodzi dzidę, uniósł ją nad głowę pewnym, wyćwiczonym gestem i wymierzył w kierunku przepływającego w pobliżu zwierzęcia. A potem nastąpił ruch tak szybki, że niemal niewidoczny i dzida utkwiała we łbie hipopotama, dokładnie między jego oczami. Bestia szarpnęła się gwałtownie, zakotłowała wodę łapami i po chwili ucichła. Choć nadal unosiła się na wodzie, jednak z jej paszczy nie dobiegało już radosne rżenie. Jezuita przyglądał się tej krótkiej scenie z podziwem, ale i ze smutkiem. Tymczasem zwycięski Kafr odbierał pochwały od swych towarzyszy, bezgranicznie dumny z dokonanego czynu.

– Hipopotam bardzo dobry – rzekł z zadowoleniem do Michała, pokazując w uśmiechu lśniąca białe zęby. – Dużo mięsa do jedzenia, dużo twardej skóry, dużo zębów do sprzedania i dużo włosów na bransoletki – wyliczał na palcach korzyści, jakie on i jego towarzysze będą mieli z zabitego zwierzęcia. Jezuita uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Zabierzemy go ze sobą? – zapytał szlachcica, wskazując ruchem głowy unoszącego się na wodzie hipopotama.

– Nie, trzeba odczekać, żeby mieć pewność, że jest martwy. Kafrowie popłyną po niego później – odrzekł Portugalczyk. – A może chciałbyś, ojcze, spróbować rzutu dzidą? Sporo bestii jeszcze zostało przy życiu.

Michał w milczeniu pokręcił głową, więc na znak szlachcica niewolnicy ponownie chwycili za wiosła i już po chwili dobijali do plaży. Łódź zaryła w piaszczystym dnie, a Kafrowie sprawnie wyskakiwali do płytkiej wody i brodząc w niej po kolana przenosili na brzeg skrzynki i pakunki. Szlachcic również zręcznie przekroczył burzę, po czym nie zważając na zalewającą mu buty wodę, żwawo pomaszerował w kierunku suchego lądu. Zapewne robił tak nie raz i nie dwa.

Dla jezuita była to jednak zupełna nowość. Niepewnie oparł prawą stopę o brzeg burty łodzi i trzymając się kurczowo oburącz dulki od wiosła, próbował przerzucić lewą nogę na drugą stronę. Niestety, w tym momencie zaplatał się w połach obszernej sutanny, która dodatkowo zahaczyła o wystającą dulkę i z efektownym „CHLUP!” Michał Boym wylądował w płytkiej wodzie. Zanurzył się cały, zakrztusił, zapięła boleśnie ręka, którą spadając najwyraźniej zranił o jakiś wystający gwóźdź. Szybko jednak wystawił głowę nad powierzchnię, parskając i plując na boki słoną wodą. Mokre włosy oblepiły mu twarz, a czarna sutanna unosiła się majestatycznie na falach, wydęta jak zad sporego hipopotama. Na ten widok Kafrowie co do jednego ryknęli śmiechem. Trzymali się za brzuchy, klepali po udach i z głośnym rechotem pokazywali palcami nieszczęsnego

zakonnika, który próbował odzyskać oddech i wstać z kolan. Na szczęście w sukurs przyszedł mu don Manuel, który pomógł się jezuitcie podnieść i schwytać odpływający kapelusze.

– Zaiste, takiego konia morskiego na tym wybrzeżu jeszcze nie widziano – żartował szlachcic dobrotliwie, prowadząc upokorzonego i ciągle kaszłającego jezuitę w kierunku plaży. – Prawdopodobnie Kafrowie ułożą o ojcu pieśń i będą ją śpiewać przy ogniskach jeszcze przez wiele lat.

– Byle rymy dali ładne, gniewać się nie będę – odrzekł Michał, wybuchając śmiechem. – Pięknie się pokłoniłem afrykańskiej ziemi, nie ma co.

– I pięknie ojciec parsknął. Hipopotamy mogłyby się od ojca wiele nauczyć – wtórował mu śmiechem don Manuel. – Na szczęście choroba żadna ojcu nie grozi, bo jest tak ciepło, że ubrania zaraz obeschną. Pójdziemy odpocząć w wiosce, w chatce, którą mam tu niedaleko. Ja pozałatwiam swoje interesy, a ojciec będzie mógł poobserwować sobie życie dzikusów, to jest – Kafrów... – perorował szlachcic, prowadząc jezuitę ścieżką wśród oszałamiającej afrykańskiej zieleni. – A z tą krwawiącą ręką to ma ojciec szczęście, że nie jesteśmy w Amazonii. Zawiodły mnie tam prądy morskie w czasie podróży do Mozambiku i widziałem tamtejsze rybki, co na sam zapach krwi zjawiają się w wodzie całymi chmarami. I nawet nędznej kosteczki z ofiary nie zostawiają. Tak, zjedzą krowę z kopytami, jak się nadarzy. Piranie je zwą. To już lepsze hipopotamy, jak mi Bóg miły...

Oszołomiony paplaniną szlachcica, Michał dał się potulnie prowadzić do wioski Kafrów, gdzie pozwolono mu odpocząć w niskiej chatce krytej palmowymi liśćmi. Wódz



wioski, najwyraźniej dobrze znający don Manuela, przyjął jezuitę gościnnie, a na widok jego krwawiącej wciąż dłoni zdjął ze swej szyi wisiołek i zawiesił go na piersi Michała.

– Ząb hipopotama – wyjaśnił wódz, wskazując na wisiołek. – Najlepszy lek na rany. Zatrzymuje krew.

Jezuita przeniósł wzrok z wisiora na swą dłoń. Krwawienie ustało niemal całkowicie, a po chwili rana się zasklepiła. Z niedowierzaniem spojrzął więc na wodza, oczekując wyjaśnień, ale ten tylko pokiwał głową i powtórzył: „Najlepszy lek na rany.” Po czym majestatycznie oddalił się w kierunku własnej chatki.

Zostawiony samemu sobie Michał zaczął przyglądać się życiu Kafrów i ich otoczeniu. Szczęśliwie papier, który zabrał do wykonywania notatek, nie zamókł w czasie feralnego upadku i teraz misjonarz mógł w spokoju opisywać dziwne kształty i smaki afrykańskich roślin, plemienne obyczaje i scenki rodzajowe. Dużo czasu spędził opodal pólka, na którym czarnoskóre kobiety uprawiały proso. Wszystkie miały na plecach przywiązane chusty, a w nich umieszczone niemowlęta, śpiące lub płaczące, co nie robiło ich matkom większej różnicy. Gdy kobiety pochylały się rytmicznie, uderzając graczkami w wysuszoną ziemię, dzieci na ich plecach w tym samym rytmie uderzały noskami w matczyne plecy.

– A więc to z tego powodu wszyscy Kafrowie mają spłaszczony nosy! – roześmiał się jezuita, przyglądając się monotonnej pracy kobiet. Właśnie miał to zapisać, gdy jego obserwacje przerwało nawoływanie don Manuela:

– Padre Michael, proszę wracać. Koń morski czeka!

Idąc za głosem szlachcica, Michał dotarł do chatki, przed którą leżało cielsko zabitego rankiem hipopotama.

– Piękny okaz – zachwycał się don Manuel. – Nieźle się niewolnicy natrudzili, by go tutaj dowlec. Proszę spojrzeć na tę skórę na grzbiecie – twarda nie do przebiccia.

Szlachcic krążył wokół zwierzęcia, pokazując to tę, to inną część jego ciała, podczas gdy Kafrowie już zręcznymi ruchami dzieli mięso i wrywali zęby. Michał nie bardzo chciał przyglądać się tym działaniom, ale nie wypadało się oddalić. Zwłaszcza że jeden z niewolników wręczył jezuitcie największe zęby oraz spory kawał mięsa, mówiąc:

– Smaczne, dobre mięso, lepsze niż mięso człowieka.

– CO TAKIEGO? – zawołał Michał ze zgrozą. – Jadłeś mięso człowieka?

– Tak, pieczone – odpowiedział ze spokojem Kafr.

– Ile razy? – jezuita nie chciał wierzyć własnym uszom.

– Dwa razy. Raz głowę jednego, innym razem nogi drugiego.

– Ja jadłem pieczonego człowiek trzy razy – wtrącił się do rozmowy inny Kafr. – Ale mięso hipopotama jest smaczniejsze – dodał z szerokim uśmiechem.

Michał wzdrygnął się z obrzydzenia. Zbierało mu się na wymioty. Przysłuchujący się tej rozmowie don Manuel poklepał go uspokajająco po plecach.

– Nie przejmuj się, ojcie. Gwarantuję, że dziś na obiad nie będzie żadnych pieczeni. W zamian za to proponuję ci ananasa. Jak tylko popróbujesz tego niezwykłego owocu, sam mi przyznasz, że nie ma na świecie nic smaczniejszego. Osobiście



podejrzewam, że pramatka Ewa nie skusiła się w raju na jakieś tam jabłko, tylko właśnie na ananasa. Mówię ojcu – jest to owoc wart grzechu...

Z tymi słowami Portugalczyk odprowadził jezuitę z dala od martwego cielska hipopotama. Michał jednak niemal nie słyszał wesołej paplaniny, która miała odwrócić jego uwagę od opowieści Kafrów. W głowie kołatało mu się bowiem tylko jedno pytanie, dotyczące jego przyszłości: „Czy Chińczycy również są kanibalami?”